

## Domy pogodnej czułości

Nie będę miała dzieci. *Nie, nie może Pani.*  
Spod szpitalnego dachu pikują jaskółki,  
znoszą skrawki świętości. Tuż przed Wielkanocą

zbioreę zabawki z pluszu, cukrowe koniki,  
ukryję się przed deszczem pod gałęzie świerku.  
Chłopiec w płonącym kutrze - wyśniłeś się dzisiaj,

Bóg tworzy w nas pejzaże, nie płoną jak klisze  
lub ropne plamy w szybach, błysk ostatni. Miasto  
nocą jest tłocznią wina. Obok drzwi hoteli

otwierające rozkosz. Złociste warkocze  
rozwijają komety na zwierciadłach Newy.  
Podobne wija światło na piersiach – właśnie, Paul –

gdy zrywasz mnie o świcie i miękko kołyszysz.  
Zarybiamy się. Łuski szeleszczą jak papier,  
wciąż karmisz we mnie szpaki. Jakie podobieństwo

do bizantyjskich ikon ukrytych w soborach  
szkli się pod przezroczystą, rozpaloną skórą?  
Nie będę miała dzieci. *Nie może Pani.* Wiem,

jeszcze się nie domyślasz, że jest w tym coś z Prousta,  
czas stracony. Zbyt jasno, jak w czyścicu. Za oknem  
na nowo koszą trawę. O tym z tobą milczę.

## Nienazywalne

Nie wiem, co opisuję. Śnieg zawiewa ślady,  
były policjant wiesza dwójkę swoich piskląt,  
sześćcioletnia dziewczynka, czteroletni chłopiec;

zabiera całą wilgoć, której miał nie tracić.  
Z zemsty na żonie? Ona powoli wycieka  
na ulice, siwieje w szeleście nagich drzew,

drobnych kroków za ścianą. Te dzieci  
tętnią pod jej żebrami, nie chce ronić ziarna,  
krucha i delikatna jak dłonie karmiące

w niej życie tej nocy. Tlen. I ciepło, choć zima  
otwiera się, rozrzuca biały kir po mieście.  
Tak chyba wypiera się śmierć, bezsenność, kiedy

śmierć mozolnie uchyla zamrożone drzwiczki.  
A ojciec, mąż? Żałuje. Tak mówił: *Żałuję*.  
Już nie dotknie kobiety. Lód szkli okno, grudzień

i pełnia się rozrasta wisielcem na szybie.  
Kilka lat wcześniej dostał krzyż zasługi, dwójkę  
obcych dzieci ocalił z ognia. W dym zmienia się

biały kontur traw. Ptaki, jakby rozmazane,  
jakby tu nieobecne, w puchu chronią młode.  
Nie wiem, co opisuję. Śnieg zawiewa ślady.

## Artur Rubinstein koncertuje w Teatrze Wielkim w Łodzi

30.05.1975 - jubileusz 60-lecia  
Orkiestry Symfonicznej w Łodzi

Fryderyku, znów śniesz się mojemu duchowi,  
dlatego cię nawiedzam. Okrążam noc i dzień;  
blade świty nad Nerem, różowe, poczęte.  
Jestem blisko zakończeń nerwowych, w pobliżu

mięśnia serca. A warstwy dni ostatnio ostre  
niczym dłuto. Uciskasz ponętne nadbrzusze  
Steinberga. Znów wybrzmiewa *Koncert f-moll opus  
dwudzieste pierwsze*. Pewnie już wiesz, nie istnieją

rzeczy poziome, wszystko jest zachwianym pionem.  
Nawet klawisze tworzą mimowolne ciągi,  
arytmiczne elizje, biało-czarne wiązki

strun ciskanych w powietrze, w rzeźby na Piotrkowskiej  
podziwiane przez gapiów. Raczysz zapamiętać,  
przechodniu? Teraz zagram swój ostatni koncert.

## Litzmannstadt Ghetto. Wielka Szpera

*O piątej rano potworny krzyk dobiegł od ulicy Wawelskiej. (...).  
Wkrótce zobaczyliśmy (...) duże, podobne do ciężarówek wozy.  
Były załadowane niezliczonymi dziećmi, a za wozami szły matki,  
którym dzieci właśnie zostały odebrane.*

ze wspomnień Sary Selver Urbach

Chaim Mordechaj Rumkowski rozkłada ramiona,  
znów nie wie, co nas czeka, co winniśmy zrobić.  
*Muszę odciąć gałęzie, aby ocalić pień.  
Muszę odebrać dzieci, jeżeli nie zrobię*

*tego, co zalecają Niemcy, inni mogą  
być także zabierani – uchronić przed tym, Jahwe.*  
Tlą się włosy dziewczynki o urodzie z książek,  
z zapisów wojen, kabał; tlą się ryże, czarne,

pozlepiane ze śluzem z rozbryzanych czaszek,  
kiedy żarzą się łuny nad miastem. Wrzosowe  
pola magii? – pod nimi kocie grzbiety bruku,  
porozrywane jutra w kawałkach o barwie

wypranej rdzy, podszewek zaprawionych ochrą.  
Z ciemnych przędzalni przynieś nici i bandażę  
z ran opatrzonych wczoraj na skwerze przy Plater.  
Zgadnij, mała dziewczynko o urodzie z książek,

kto wybiera z trawników rozsypany sporysz?  
Im więcej się wykluje na spoconej skórze,  
tym bardziej się wyludnisz, nazwą cię robactwem,  
morową ćmą; od wczoraj zatruwasz kontynent.

Trzeba zasnąć w olbrzymiej muszli pra-ślimaka,  
by nie dostrzec za chwilę pociągu, hamuje;  
muchy w dusznych przedziałach bydłących zlizują  
mdły odór czosnku – stale uwalnia go ciało.

## *Show must go on*

Srebrny ekran i światło. Roziskrzzone, kruche.  
Prawdziwe? Przynajmniej dziś dają temu wiarę,  
jest ich kilkudziesięciu, ochotnicy. Tylko

jeden słyszy pytania. Reszta razi prądem  
za każdą złą odpowiedź. Napięcie zabija?  
Prezenter nakazuje (niczym kapral w wojsku,

guru, przywódca grupy, inny autorytet),  
człowiek kostnieje jak firn, ostre sierpy szkwału  
tną naskórek na pręgi. Widoczne z ekranu

drzazgi błysków odbite na zmęczonej twarzy.  
*Pozwólcie mi wyjść – prosi – muszę wymiotować.*  
Zaduch, początek lipca rysuje obrazek

głowy dziwnie wplecionej między uda. Ludzie  
nie wiedzą, że to aktor, że ból jest na niby.  
Później w domach pieką chleb, przytulają dzieci.

Trywialne. Banalność zła, jak u Hanny Arendt.  
A mnie ciekawią inni. Uciekli ze studia  
w rubinowe aleje, nierówny puls nocy,

kilka osób. Idzie świt, w sukni panny młodej,  
w halce podszytej wiatrem. Zbita szklanka z kawą  
rani palce, kwitnie głóg. I miesza się zapach.